



Stanisław Żeromski
(1864 — 1925)

Popioły (1903)

Ogary poszły w las.

Echo ich grania słabło coraz bardziej, aż wreszcie utonęło w milczeniu leśnym. Zdawało się chwilami, że nikły dwugłos jeszcze brzmi w boru, nie wiedzieć gdzie: to jakby od strony Samsonowskich lasów, od Klonowej, od Bukowej, od Strawczanej, to znowu jakby od Jeleniowskiej Góry... Gdy powiew wiatru nacichał, wynurzała się cisza bezdenna i nieobjęta na podobieństwo błękitu nieba spomiędzy obłoków i wówczas nie słychać było nic a nic.

Naokół stały jodły ze spłaszczonymi szczytami jakoby wieże strzeliste, nie wyprowadzone do samego krzyża. Ich pnie sinawe jaśniały w mroku. Mchy stare zwisały z olbrzymich gałęzi. Wrósłszy między głązy, w niezmierną ławicę skalisk aż do grunтовой posady serdecznym korzeniem, wszczepiając pazury pobocznych skrętów w każdy zuchelek ziemi i wysysając każdą kroplę wilgoci, wielkie jedle chwiały królewskie swe szczyty w przeciągu niejednego już wieku pomiędzy mgłami Łysicy. Tu i owdzie stała samotnica, której gałęzie uschły i sterczały jak szczeble obcięte toporem. Sam tylko jej wierzchołek jasnozielony, z szyszkami w górę wzniesionymi, niby gniazdo bocianie bujał nad przestworem. Gałęzie świerków, na których leżała ciężka pościel śniegowa, zwieszane ku ziemi powyginały się w pałak. Te wyciągnięte zewsząd, z bliska i z daleka, kosmate łapy w białych oponach, wyłożone jak gdyby perłową macicą, zdawały się czaić i czyhać. Radosna zieloność najmłodszych, końcowych igieł jaśniała niby wysunięte pazury. Co chwila, ulegając własnemu ciężarowi, czułe na każde westchnienie wiatru, sypały się puchy śniegowych owałów i ginęły w podścielisku na ziemi tak bez śladu jak krople deszczu w toni jeziora. Ze szczytów zlatywał pyłek ledwie dostrzegalny, tak lekki, że stał długo w powietrzu migocząc swymi kryształami, nim spłynął ku ziemi.

Około południa łagodna odwilż poczęła rozgrzewać śniegi. Wskroś bladoniebieskiego przestworu płynęły białe obłoki, przeniknięte od blasku słońca. Na najwyższych, krzyżowych spławach świerków stopniały lód zamieniał się na olbrzymie krople, które w ciemnej zieleni igieł świeciły jak wielkie diamenty. Tam i sam

długi soplel, zwisając ze zdrewniałego mchu, z kory popękanej i chropawej, miotał snopy zimnych iskier. Niżej, pod śniadym cieniem gałęzi, był dawniejszy, ranny chłód. Niektóre młode *rsioki*, w sobie czerwono-brunatne a żółtawe u szczytu, zgięte pod nadmiernym ciężarem śniegu, trzymały wysokie głowy u samej ziemi nie mogąc oderwać od niej przymarzłych gałęzi. Gdzie indziej sterczały wykroty pniów wysiepanych z ziemi przez srogie świętokrzyskie wichry, tworząc pod zaspami strachem zionące pieczary.

Rafał, plecami oparty o pień grubego buka, stał bez ruchu i nasłuchiwał.

Nad sobą i przed oczyma miał tęgie, powykręcane, obmarzłe gałęzie o barwie łuski okonia. Cienkie, stalowe różgi były nieruchome, a wielki śniat, ze skrętami i kłębami jak wyprężone mięśnie człowieka, zdał się być duchem mrozu. Olbrzymi buk stał samotny, twardy i zimny, jakby nie należał do drzew. Król na Łysicy! Nie drżą przed wiatrem jego gałęzie, pień się nie schyla. Rozłożysty, nad lasy wyniesiony wierzchołek patrzy się z władczego cypliska w szerokie niziny na północ i na południe, ogląda się po górach jednoramiennych. Pustki wszędy, niwki, wsie... Daleko, za ostatnim wzniesieniem łańcucha, za Stróżną, ciągną się w poprzek role, aż do Krajna, aż na szczyt góry Kamienia. Odwieczny buk pamięta za wiosen swej młodości bór nierozdarty w nizinie Wilkowa, Ciekot, Brzezinek, po górach aż ku Kielcom. Zginęły za jego żywota pod siekierą dąbrowy, oschły między działkami chłopskiej nowiny mokre, zakisłe, nieprzebyte gozdy, z których się wieczne wody sączyły. Tam gdzie kosmaty rsiok wiekami rósł i gnił — wiatr po badyłach świszcze. Połanki ról wżarły się w samą knieję, liszajem pełzną w strzępy jej płaszcza, z roku na rok wdzierają się wyżej aż popod szczyty zawałone głazami Psar, Radostowej... Wysycha u stóp górskich nieciecz, drzew żywicielka, zostaje grunt czerwony i szczyry się kamieniami pod słońcem. Tylko jałowiec osłania jego nagość i rany. Już coraz rzadziej niedźwiedź ociera się kudłatym ciałem o pień starego buka; coraz rzadziej przychodzi śnić w cieniu jego gałęzi wielkorogi jelen — i wilk-kobylarz nie tak często czatuje tutaj na dropiate jagniątko łani. Już nie świszczą ponad konarami skrzydła orłowe i sęp tylko kiedy niekiedy przylata popatrzeć z wierzchołka w zgrozie i gniewie na zniweczoną dziedzinę.

Wbrew srogim myśliwskim zasadom Rafał zeszedł był ze stanowiska i chyłkiem dotarł do szczytu góry. Przez chwilę stał tam u wejścia na gołoborze i, przejęty głuchą trwogą, patrzył w to miejsce, gdzie wiedźmy, strzygi, błędnice zlatują się o północy i gdzie się ukazuje sam Zły. Gładkie boki olbrzymich złomów kwarcytu iskrzyły się w słońcu ziarnistym szkliwem, jakby sam mróz. Obmarzłe kije, sterczące spod śniegu, były podobne do broni wykutej z kryształu. Stare jodły rzucały cień na połowę urwiska.

Wróciwszy na swe miejsce młody myśliwiec wyteżył słuch... Gdy go do ostatniej granicy na zwiady posłał, łudziło mu się, że i las z nim razem słucha. Cisza była wciąż ta sama, głęboka, głęboka, zaiste niezgruntowana...

Ale oto z krańców leśnych wypłynął gnuśny powiew, ze snu twardego obudzony szept, tchnienie rzewne, przeciągłe długo wstrzymwanego oddechu puszczyso-górskich. Szczyty drzew pochylały się przed nim jakby we czci, gdy płynął w bory ów śpiew niewysłowiony. Brzmienie jego, ledwo wydobyte z nicości, jak płaczem cichym zdradzone wyznanie wzruszeń przedwiecznych, jako jęk bez nadziei, szło z samotni leśnych po wtóre, po trzecie i, sącząc się cichymi odcieniami dźwięków, nicestwiało w otchłani. Zdało się, że ten śpiew zakłęty, mieszkający w drzewach, coś wypomina, że woła... W jasnym powietrzu, między zielonymi kępami igieł płynął pod niebem. Knieja obejmowała go tajemniczym ramieniem swoim, puszcza go znowu brała, matka rodzona, puszcza — dusza praojcowska, puszcza — siostramiłośnica. Zamierał jak westchnienie ów żałosny świst-poświst... Gdzie zamierał?

Może na zburzyszczu wysokich skał, które się po odejściu fal i pian morza rozpadły w rumowie głazów mchami rudymi porośłe... Może w kolisku dębowych pniów, do gruntu zmurszałych, które zwartą strażą otaczają prochy z przyciesi świętej kontyny, gdzie przed wiekami Pogoda łaskawie przyjmowała obiady... Może na czole kamiennym, na twardych piersiach bożyszczka Lelum-Polelum, które śpi w dole nieznanym, mchem tysiąca zim i tysiąca wiosen okryte, i spać będzie nikomu nie znane na wieki wieków... Może w tropach wiecznego jelenia, który między rogami nosi po lasach drzewo krzyża świętego, a ukazuje się ludziom raz na sto lat...

Kiedy nadciągała z daleka owa pieśń lasów, zdało się Rafałowi, że płynąć będzie przez jego ciało tak samo jak przez drzewa. Zapominał wówczas, gdzie jest i co się z nim dzieje. Snuły się w nim wspomnienia nieujęte, niedotykalne, zamglone, przedziwnie żebrzące o pamięć.

Był daleko od tego miejsca, nie pod szczytem Łysicy, na stanowisku. Był w ogrodzie swego dzieciństwa. Tajała kra i okiść wszystkiego, co rzeczywiste... Ogród zapomniany, na tyłach starego dworu. Rozłożyste jabłonie z pniami w pewnych miejscach zwężonymi od dawnych szczepień, jak butle. Pęki, bukiety różowych kwiatów... Bujny agrest, gęste porzeczeki obrosły każdą drożynę. Nad wysokimi trawami, które jeszcze powleka kroplista rosa, wznoszą się śnieżnobiałe, dziewicze drzewka wiśniowe. Zda się, że to chmurki wiosenne, obłoczki ranne z krańców nieba aż tu przyżeglowały i między wysokimi topolami, między starymi parkany bezradnie osiadły. Brzęczą pszczoły, osy, muchy, napełniają cały sad gwarem, a serce dla niewiadomej przyczyny czcią i grozą. Och, jakże miło, jak radośnie w tym cienistym sadzie rodzinnego domu! Za drzewami owocowymi ciągną się niedostępne zarośla, gaje wikłów i rokitnicy. Na kępach, wśród zapleśniałej wody, straszą oczy kudłate wierzby o pniach spróchniałych i lesie bujnych prętów, olchy smutne, czarne z krwawymi odziemkami. Żaby kumkają w wodzie lśniącej grzybieniem i skrzekiem, a niezliczone ptaki pogwizdują. Szmer liści, pogwar owadów i ledwie dające się ująć przyciszone szeptu, szmery, syki, ledwie dające się ciałem

wyczuć westchnienia czy ciche jęki, jakoby mrowienie i lechtanie przechodzi w poprzek i wzdłuż...

Mały chłopczyk, gadułka zdrowy, szczęśliwy, wesół i rozśpiewany, biegnie ścieżkami tego ogrodu. Skacze u nóg ojca niosącego nabitą strzelbę i dba o to tylko, żeby w rosach nóg nie zamoczyć. Tu rzuca mu się w oczy biedronka pełzająca po mokrym liściu, tam ślimak zaczerniał w białej rosie; promień słońca padł na pąsowy kielich tulipana, świeżo rozkwitły tego poranka... Cicho, cicho... W gąszczach rozlega się słodki i wesół jak sama wiosna, jak dusza dziecięca, głos wiwilgi. Wtem z łoskotem piorunu wybucha strzał i huczy w drzewach. Serce drętwieje i staje w biegu. Radosne ciało całe drży... Z wyżyny wiązu rosnącego w kącie ogrodu spada trzepocąc skrzydłami złotolita wiwilga i broczy krwią mokre trawy. Ach, jeszcze widać jej otwarty dziób i straszne, przeraźliwe oczy! Słysząc jej sepeliący syk, zdławiony, gdy po nią rękę wyciągnął. I nagły ów strach! Nagły, przesywający strach, radość, zemstę, rozkosz i niewysłowny dziecięcy ból. Trzepie się ptak i miota z boku na bok. Wstaje na nogi... Oczy jego zmętniały, kilkakrotnie wyteżyły się jeszcze. Patrzą. Coś je zamazało, zawlekło...

Kiedy to było i gdzie? Czy były naprawdę, czy mu się śniły tylko te okrutne ptasie oczy, wbite w pamięć jak gwoździe wbite w rany, które na samym początku życia istnieją?

Ale oto cisza nastaje, a po społu z nią, niby chmurki w wyżynie, inne przepływają widzenia.

Las ciemny, srogi, oświetlony blaskiem księżycy. Ogromne śniegi na nim leżą, na czarnym lesie. Dzwonią janczary i echo ich odbija się w kniei jak zuchwałę wzywaniem do boju. Księżyc w zimnym przestworze króluje. Źrenice nie mogą oderwać się od jego tarczy i przedziwne szepty, półsłowa, wreszcie jakieś wyrazy płyną do niego z piersi. To bezlitosne światło woła ku sobie, wciąga na wysokość ku słodkiej harmonii, ku rozkoszynom, jako ta leśna, melodiom... Ojciec lubił tamtędy jeździć, drogą „na las”, mało znaną. W tych ostępach włóczyły się stada wilków. Toteż gdy wjeżdżano w posępne gąszcze drzew zwartych, podsypywano prochu na panewki dwu flint i dobywało się zza pasa podwójne pistolety. Słysząc jeszcze szept modlitw matki... Dreszcz zimny do szpiku przejmuje i niby czyjeś skostniałe palce podnosi włosy na głowie. Janczary rzegocą coraz głośniejsze, coraz głośniejsze, im dalej w knieję; wreszcie zda się, że biją jak dzwony. Cztery konie mkną drogą, której nie przetała sanica. Od uderzeń kopyt rozpryskują się zadmy śniegu, jak góry pyłowej mąki. Kiedy niekiedy coś pod saniami trzaska. W lesie słysząc niepojęte głosy... Cały bór wre i huczy od echa janczarów. Aż oto w pewnym miejscu zasłona świerków na krótko się rozchyła; z wąskiej leśnej polanki widać górę, a na niej poszczerbione ruiny. Księżyc oświetla śnieg i lód, który na gzemsach zburzonych ścian, na krawędziach wybitych okien leży.

To ruiny ariańskiego kościoła.

Jaki dziwny, niespodziewany żal!...

Gdzież jest ten dzień, gdzież się na wieki został?...

A ta wiosenka... Po świętach Wielkiejnocy powrót z rodzicami od krewnych do domu. Jadą tą samą drogą. Wolno wlecze się bryka po korzeniach i ciemnych bagnach szlaku. Naokół las gęsty, mokry, dymiący się od pary. Wszędzie w mroku poddrzewnym lśni stojąca woda. Oślizgłe, czarne kije ze zgniłymi gałęziami leżą w ciemnych bajorach drogi. I oto znowu ruiny ukazują się na górze. Konie wstrzymano i rodzice pozwalają dzieciom wejść na szczyt wzgórza. Brat starszy i siostry biegną na wyścigi...

Niegdyś wdzierała się na tę górę szeroka jezdna droga dla landar, bryk, kutych wozów, ale już i na niej sosny wyrosły. W kolejach stoją grube świerki, na zakrętach stanęły jodły stuletnie, z przykopy biegnącej środkiem strzeliły białopienne brzozy. Las zamknął dostęp do ruin, wziął w posiadanie, co weń weszło, i na powrót stał się sobą. Już ani okien, ani drzwi. Nikt nie strzeże wyklętej świątyni, oprócz wysokich kęp ostu. Dzika róża po nagich skarpach pełza z wysoka i wyciąga kolczaste, żebracze badyle. W tym miejscu, gdzie może był ołtarz, gdzie oczy wyznawców szukały widomego znaku — czarny szkielet jeżyny. Niestrudzona woda gryzie cegłę i kamień, a mech rozsypane ich prochy grzebie pod sobą. Na zewnątrz murów, w głębi świątyni i w lesie jakie mnóstwo podlaszczek! Ubogie kwiatuszki, siwe biedotki leśne, są jakby kroplami bladego nieba północnej wiosny, które spadły z wysoka na ziemię i rozprysły się w kształt kwiatka. Jaka rozkosz, jaka tajemnicza, niedostępna rozkosz — niby ów las... A jakie coś drapieżne, bolesne, oślizgłe od deszczów i straszliwe od echa każdego kroku w tej ruinie kościoła! Co w niej jest, co płacze i woła z ziemi za odchodzącym dzieckiem? Czy nie mogą się z nią rozstać i nogi nie mogą odejść. Zerwane kwiecie z rąk wylatuje, i w uszach odzywa się jak gdyby syk sepleniący wiwilgi zabitej w ogrodzie...

[za: S. Żeromski, *Popioły*, t. 1, oprac. J. Paszek, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1996, s. 4-11]